



Październik to jeden z najgorętszych miesięcy w GKF. Przygotowania do Nordconu idą już pełną parą, a przecież życie klubowe nie może zostać zawieszona na ich czas. Poza tym - ciągle odbywają się jakieś imprezy, no i trzeba robić „Informator”.

Numer, który oddajemy do Waszych rąk, jest już dziewięćdziesiątym! „INFORMATOR” to najdłużej nieprzerwanie ukazujący się fanzin w Polsce! Przy okazji zbliżającego się jubileuszu pisma, będzie zapewne czas i miejsce na przybliżenie jego burzliwej historii, tymczasem przechodzimy do spraw aktualnych.

Po raz kolejny zarzucono mi uprawianie na łamach „Informatora” politykierstwa, przy okazji wytykając polityczne sympatie. Oświadczam zatem, że wolę już cierpieć na „dziecięcą chorobę prawicowości” niż starczy uwiad lewicowości, który każe się dopatrywać w każdej deklaracji - politycznej manifestacji; w każdym napomnieniu - zamachu na czyjeś dobre imię i wyrazu nienawiści. To nie konserwatyści zaczęli frymarzyć moralnością i to nie oni uczynili z niej przedmiot politycznej gry. Co dziś nie jest polityką? Przecież nawet fantastykę sam Papier lubi dzielić na „postępową” i „reakcyjną” i to za jego redaktorowania puszczono w „Informatorze” lewicujące wierszydło Ryszarda M. Grońskiego „Sen” (nr 14, maj-czerwiec 1989). Nie ja pierwszy „łamię” więc zasadę apolityczności GKF. Przykład idzie z góry!

Nie będę Wam życzył wielu radości z okazji pogańskiego Halloween. Proponuję raczej chwilę zadumy z okazji Wszystkich Świętych i Zaduszek.

Z ostatniej chwili: okazało się, że prace nad Nordconem tak dalece zaabsorbowały nasze siły, że październikowy „Informator” ukaże się z trzytygodniowym opóźnieniem. Gorąco wszystkich Czytelników przepraszam.

naczelny

PAŹDZIERNIKOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Posiedzenie odbyło się 19 października 1996 roku. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

Prezes odczytał nadesłane pisma z wnioskami o przyjęcie do GKF na prawach Klubu Lokalnego lub Sprzymierzonego. Na jego wniosek Zarząd jednogłośnie uchwalił wstrzymanie przyjmowania nowych klubów do końca 1996 roku. Wnioski zostaną rozpatrzone na styczniowym posiedzeniu Zarządu.

II. SPRAWY PERSONALNE

1) Zakończenie stażu kandydackiego

Staż kandydacki ukończyli i zostali członkami zwyczajnymi GKF:

KL „Angmar” - Karolina Korbel, Lech Ugrićzic

KS „Gromadka Kubusia Puchatka” - Tomasz Gilarok, Jacek Sałata

2) Skreślenia z listy członków GKF

- za niepłacenie składek zostali skreśleni:

KL „Angmar” - Jakub Szreder, Michał Szulc, Piotr Rusin, Cezary Walas, Tomasz Szarmach, Jacek Kowalewski, Krzysztof Milewski

KI „Armageddon” - Paweł Dobiegała

KL „Hydrus” - Krzysztof Kubiak, Gwidon Osięglewski

Klub Członków Korespondentów - Zbigniew Modzelewski, Ireneusz Ziemgowski

- na wniosek prezesa KS „Xenomorph” - Łukasz Hormański

3) Urlopy organizacyjne

- z powodu odbywania służby wojskowej Roman Kaźmierczak („Gromadka”) do końca 97

- z powodu rejsu Arkadiusz Stankiewicz (First Generation) na IV kw. 96

- z innych powodów: Bogdan Kałużny i Radosław Kleczyński (First Generation) IV kw. 96 - III kw. 97.

III. SPRAWY FINANSOWE

1) Prezes GKF przedstawił stany składkopłatności, stany subkont KL-ów i KS-ów

2) Zarząd podjął uchwałę, że od 1 listopada 1996 kara za niezapłacenie składki kwartalnej (w terminie do końca danego kwartału) będzie wynosić 4 zł.

IV. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

W grudniu zostanie przeprowadzona roczna kontrola Działu Filmowego.

V. IMPREZY

KF „Angmar” przeprowadza imprezę MORGUL PARTY 7 w dniach 8-10.11.96.

VI. WOLNE WNIOSKI

Na wniosek wiceprezesa GKF Zarząd uchwalił, że nowoprzyjęte kluby mogą być dotowane najwcześniej po 3 miesiącach od daty przyjęcia.

URODZINY

Mówi się, że listopadowe dzieci są geniuszami. Być może to prawda, ale starajcie się być skromni - prosi Was o to Zarząd GKF i redakcja „Informatora”



- | | |
|----|------------------------|
| 1 | Krzysztof Kielichowski |
| 5 | Marcin Grygiel |
| 7 | Dariusz Przewoski |
| 8 | Piotr Mazurowski |
| 9 | Anna Zygmunt |
| 11 | Monika Jeżewska |
| 12 | Joanna Piszczek |
| 16 | Paweł Derkacz |
| | Sławomir Ginter |
| 17 | Dariusz Juszczewski |
| 18 | Andrzej Pieniążek |
| 20 | Przemysław Mantay |
| 21 | Paweł Lewandowski |
| 23 | Maciej Gostomski |
| 28 | Małgorzata Stankiewicz |

Nominacje do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za 1995 rok

Po przeliczeniu wszystkich głosów nadesłanych propozycji do Nagrody im. Janusza A. Zajdla, zawiadamiam, że nominację otrzymały następujące utwory:

W kategorii powieści:

Feliks W. KRES, *Północna granica* (wyd. Trickster)
Marek ORAMUS, *Święto śmiechu* (wyd. super NOWA)
Andrzej SAPKOWSKI, *Czas pogardy* (wyd. super NOWA)
Rafał A. ZIEMKIEWICZ, *Pieprzony los Kataryniarza* (wyd. super NOWA)

W kategorii opowiadania:

Ewa BIAŁOŁĘCKA, *Okrąg Pożeraczy Drzew* (NF 11/95)
Tomasz LECHOCIŃSKI, *Łzy Boga* (NF 9/95)
Konrad T. LEWANDOWSKI, *Noteka 2015* (NF 4/95)
Maciej ŻERDZIŃSKI, *Malarze* (NF 2/95)

Ogółem głosowano na osiem powieści i dwadzieścia jeden opowiadań.

Elżbieta Gepfert

- za rok 1985:** *Głowa Kasandry* Marek Baraniecki (wręczono na POLCONie '86 w Katowicach);
za rok 1986: nie przyznano (POLCON'87, Warszawa);
za rok 1987: nie przyznano (POLCON'88, Katowice);
za rok 1988: *Rozpad połowiczny* Edmund Wnuk-Lipiński (POLCON '89, Gdańsk);
za rok 1989: nie przyznano (POLCON'90, Waplewo);
za rok 1990: *Mniejsze zło* Andrzej Sapkowski (EUROCONPOLCONCRACON '91, Kraków);
za rok 1991: *Kara większa* Marek S. Huberath (POLCON '92, Białystok);
za rok 1992: powieść: *Król Bezmiarów* Feliks W. Kres
opowiadanie: *Miecz przeznaczenia* Andrzej Sapkowski (POLCON '93, Waplewo);
za rok 1993: powieść: nie przyznano
opowiadanie: *W leju po bombie* Andrzej Sapkowski (POLCON '94, Lublin);
za rok 1994: powieść: *Krew elfów* Andrzej Sapkowski
opowiadanie: *Tkacz Iluzji* Ewa Białołęcka (POLCON i NORDCON'95, Jastrzębia Góra)

WYDZIAŁ FANTASTYKI
KRAJOWY ZWIĄZEK FANTASTÓW
POLSKA
KRAJOWY ZWIĄZEK FANTASTÓW
POLSKA

POLCON '97

Śląski Klub Fantastyki zamierza ubiegać się o organizację przyszłorocznego POLCONu. Jeśli Forum Fandomu powierzy nam ten obowiązek, POLCON '97 odbędzie się w dniach 11-14 września 1997 r. w Katowicach, na terenie Politechniki Śląskiej. Budynek dysponuje aulą na ok. 400 miejsc, licznymi salami wykładowymi oraz salą audiowizualną. Na miejscu znajduje się bufet. Noclegi przewidujemy w gościnnych akademikach Politechniki i Uniwersytetu Śląskiego, położonych w odległości do 10 min. spaceru od miejsca imprezy. Przegląd filmowy odbędzie się prawdopodobnie w sali Śląskiego Towarzystwa Filmowego (rozmowy trwają).

Staramy się o przyjazd gości zagranicznych: Guya Gavriela Kaya i Iaina M. Banksa, w czym pomagają nam wydawnictwa Zysk i S-ka oraz Prószyński i Ska.

Wysłaliśmy wstępne zaproszenia do krajowych gości honorowych konwentu: pani Jadwigi Zajdel, Wiktora Bukato i Macieja Parowskiego. Decyzją zarządu Klubu, wolny wstęp będzie przysługiwał wszystkim dotychczasowym laureatom Nagrody im. Janusza A. Zajdla.

Na zakończenie informacja mniej sympatyczna: koszty. Akredytacja na POLCON '97 w Katowicach nie będzie niższa niż 30 zł i będzie rosła w miarę zbliżania się konwentu.

/SKF/

Promocja

Pomimo prób dotarcia do mediów informacja o promocji książki Beaty Iwickiej „Kultura Śródziemia w końcu Trzeciej i na początku Czwartej Ery” nie zdołała się przebić na ich tamy. Naprawdę nie wiem już, co trzeba zrobić, aby doprowadzić do zburzenia tego muru milczenia o fantastyce w publikatorach.

Natłok niewyobrażalnej wręcz ilości imprez odbywających się w trzeci weekend października w Trójmieście sprawił, że w rocznicę spotkania Glorfindela z orszakiem Froda (18 X) świadkami promocji było kilkanaście osób. Ale może to i lepiej. Atmosfera była sympatyczna, nieomal rodzinna. Najwierniejsi fani Tolkiena w Gdańsku nie byli jednak zbyt dociekliwi. Być może onieśmieliły ich mury uczelni i obecność przedstawicieli kadry naukowej UG. Niemniej jednak spotkanie przyniosło zamierzone efekty. Sprzedaliśmy kilkanaście egzemplarzy książki, zareklamowaliśmy serię i - last but not least - GKF.

A z uzyskanych przeze mnie informacji wynika, że pozycja Iwickiej sprzedaje się bardzo dobrze i kto wie, czy nie trzeba będzie przygotować dodruku.

G.A.N.

Frankenstein, moja miłość

czyli

Letni Obóz Fantastyki (18-20.X.96)

O LOF-ie dowiedziałam się przypadkiem od Marka Oramusa, który umiejętnie podsycił we mnie przysłowiową babską ciekawość i zostawił na pastwę losu oraz wrocławskiego organizatora. Napisałam zatem list do Jacka Ingłota; odpowiedź była krótka i zniechęcająca - kobietom wstęp wzbroniony, basta. Nie wiedziałam wcześniej o tym założeniu, więc trochę się rozczłochałam. Mam do końca życia być traktowana jako niższy gatunek?

Zrobiłam szybkie rozpoznanie, dzwoniąc do Ośrodka Kultury z pytaniem o program. To, co usłyszałam, rozpałiło do białości moją chęć wyjazdu. Zaklepałam noclegi i zaczęłam walkę o uczestnictwo, wysyłając wici do wszystkich, którzy mogli przemówić w mojej sprawie. Wreszcie niespodziewanie dostałam certyfikat od Komandora Papieru - na czas LOF-u zostałam mianowana mężczyzną! Tym samym główna przeszkoda została usunięta; jedyna kobieta w męskim gronie może budzić nieciekawe skojarzenia, lecz co jest niemoralnego w samotnym mężczyźnie?

Krakowski pociąg spóźnił się godzinę, mimo to wszyscy czekali, aż przyjadę, pijąc piwo. Zastanawiałam się, czy zmiana płci spowodowała, że niektórzy zaczęli mnie traktować z pewną atencją. A może podziałało renesansowe hasło LOF-u: **„otwieraj umysł równie często jak piwo!”** Do Ząbkowic, czyli Frankensteina, jechałam gościnnym samochodem Gienia Dębskiego (*Owen Yeates jest świetnym kierowcą*). Nie byłam w tej okolicy jakieś ćwierć wieku, ale zauważyłam, że krzywa wieża stoi, jak stała, a ruiny zamku jesienią przybrały złotorudy kolor.

Program, podzielony na bloki tematyczne, rozpoczęto w piątkowy wieczór pokazem „Frankensteina” z Borisem Karloffem - potem Jacek Ingłot przedstawił tłum gości. Niemal każdy z nich przygotował prelekcję, więc było czego posłuchać. Pierwszy mówił Maciej Parowski (o horrorze), zastanawiając się perfidnie, dlaczego jesteśmy perwersyjnie zafascynowani bestią, pożerającą niewinne dziewice (*myślę, że słynne „Ziarno prawdy” AS-a wyczerpująco omawia to zagadnienie*). Następnie rozegrano konkurs wiedzy o filmie grozy, nagradzając odpowiedzi książkami oraz certyfikatami uczestnika LOF-u. Siedziałam obok Andrzeja Drzewińskiego a ponieważ Jacek zabronił mi grać, podpowiadaliśmy dzieciakom startującym w konkursie, lecz muszę przyznać, że same nieźle dawały sobie radę, mając więcej niż blade pojęcie na zadany temat.

Gdy zakończono część oficjalną, przez kilkanaście minut rozpaczliwie szukaliśmy jakiegoś pubu, lecz ponieważ wszystko zamknięto o śmiesznej godzinie 22.00 - wróciliśmy do hotelu, żeby pogadać. Andrzej Sapkowski nie spędził nocy na rozmowach. Po oprawieniu ananasa (*zafundowanego przez Konrada Lewandowskiego, zwanego Przewodasem*) zmęczony siekaniną, błogo zasnął. Reszta dotrwała do drugiej i również udała się na zasłużony odpoczynek.

W sobotę, skoro świt, podczas posiłku Mistrza Sapkowskiego (*złożonego z jego ulubionych parówek, ohydnie obdartych ze skóry*) objawiła się telewizja. Nie dali mu dogryźć śniadania, porywając na zamek. Przez cały dzień wykonywali krecią robotę, nagabując pisarzy i uwożąc, przeważnie w stronę ruin. Ja też w końcu tam poszłam, nieproszona. Korzystając z kilku słonecznych minut zrobiłam serię zdjęć. Ruina zaiste wspaniała - marnuje się, mogąc być wykorzystana jako tło koncertów smyczkowych lub jazzowych.

Mistrz Sapkowski, wyrwawszy się telewizji, zainaugurował blok literacki. Na spotkaniu z wielbicielami wiedźmina padło dużo pytań, ale nie zanotowałam uwag krytycznych. Eugeniusz Dębski pogawędził o początkach swojej przygody z fantastyką, a Rafał Ziemkiewicz zamierzał powtórzyć rozważania o seksie w sf (*znam to z Katowic, bardzo mi się podobało*), lecz z niewiadomych powodów pozostał przy programowym temacie „Fantastyczne wizje przyszłości - czy się spełniły?”. Po czym Jacek Ingłot i Andrzej Drzewiński przeprowadzili konkurs literacki (tematyka: Tolkien i Lem). Jedno z pytań brzmiało: „co to jest sepulka?”. Choć każdy wie, że sepulka służy do sepulenia, a sepulenie jest to coś, do czego służą sepulki, znów dałam się nabrać...

W bloku popularnonaukowym dwaj pisarze wystąpili w mniej znanych rolach. Marek Oramus, reklamowany jako popularyzator nauki oraz inżynier jądrowy, opowiedział o gwiazdach starszych niż wszechświat (ile lat ma Kosmos? kiedy się skończy?). Jego pogadankę uzupełnił wykład Andrzeja Drzewińskiego (fizyka) na temat

krótkiej historii atomu. Andrzej wykladał z taką swadą, że nawet ja, profanka, coś niecoś „załapałam”. Adam Cebula, kolejny fizyk, pokazał wspomniany wielokrotnie atom. Mogliśmy go zobaczyć gołym okiem! Na koniec odbył się ostatni tego dnia konkurs, wbrew pozorom, niełatwy. Tematem wiodącym była budowa wszechświata i struktura materii - radzono sobie nieźle.

Późnym wieczorem odmaszerowaliśmy na nocne Polaków rozmowy. Około północy odkryliśmy, że oprócz nas ktoś jeszcze w hotelu straszliwie hałasuje. To było wesele! Gdy nadszedł czas na spoczynek,

przykryłam głowę poduszką, ale nic nie pomogło - materac rezonansował. Po półgodzinie przeklełam wszystko co możliwe, ubrałam się i wyszłam, licząc na spotkanie ludzi z podobnym problemem. Nie zawiodłam się. Obok recepcji koczowali Jacek Ingłot i Ryszard Krauze, którym łomot, a zwłaszcza dobór melodii (disco polo) również przeszkadzały spać. Jacek Ingłot, jowialnie klepiąc mnie po plecach, powiedział: „wiesz co, Johan, fajny z ciebie facet”. A ja, wprawdzie nie klepiąc nikogo, pomyślałam: „wiecie co, czasem i z wami można się dogadać...” Przekicaliśmy tak kilkanaście minut, w końcu litościwie zmożły nas soki owocowo-warzywne. Tę noc przeżył spokojnie tylko Andrzej Sapkowski, który po spożyciu barszczu czerwonego na kolację natychmiast położył się spać. Nie słyszał niczego!

Na niedzielę zapowiedziano blok kulturoznawczy. Ponieważ spotkania zaczynały się dopiero od 11.00, zdążyliśmy bez pośpiechu zjeść śniadanie i opuścić hotel. Zmieniliśmy miejsce z Ośrodka Kultury na Miejską Bibliotekę Publiczną, która mieści się



w gmachu ratusza. Odbyły się dwie prelekcje: Jacka Inglota pt. „New Age - nowa religia czy szwindel wszechczasów” oraz Lecha Jęczmyka o Nowym Średniowieczu. Wszyscy chętni mogli wziąć udział w ciekawym konkursie wiedzy o czarownictwie.

Wyjeżdżałam z gościnnego Frankensteina trochę smutna (*chciałoby się zostać jeszcze kilka dni*), aczkolwiek w pełni usatysfakcjonowana spotkaniami, tak oficjalnymi, jak prywatnymi. Gdy czekaliśmy na pociąg, już we Wrocławiu, niespodziewanie podszedł jakiś młody człowiek i pokornie poprosił Mistrzów Jęczmyka i Oramusa o autograf. *Ach, ta potęga mass mediów...* Nieco zaskoczeni Mistrzowie spełnili jego prośbę w dowodzie osobistym, informując, że w kolejce po bilet tkwi Mistrz Sapkowski (młody człowiek dopadł także i jego).

Zabawny finał nastąpił w pociągu. Rozmawialiśmy z Markiem Oramusem o fantastyce i dawnych, dobrych czasach, sięgając aż do początków PSMF. Wreszcie nadszedł nieunikniony temat graczy, o których wypowiedziałam się z jakimś niesmakiem, wiedząc, że większość z nich czyta jedynie wtedy, gdy pilnie potrzebuje szczegółowej wiedzy do jakiejś gry. W przedziale było tylko kilka osób - my, starszy pan, namiętnie palący śmierdzące papierosy, oraz osobnik wtulony w kąt. Za Opolem wsiedli jeszcze dwaj młodzi ludzie, a ja wyszłam się przewietrzyć. Gdy wróciłam, Marek siedział z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy, po czym wyszeptał: „jedziemy z graczami!”. Skromny osobnik w kącie zdeklarował się również jako gracz. Cóż, potem bezczelnie podsłuchiwałam ich rozmowy - zarzuty częściowo się potwierdziły. I pomyśleć, że góra z górą...

Podsumowanie: konwent świetnie dograno, prowadzono z wyczuciem, publiczność także dopisała. O ile rok temu przyszły podobno tylko trzy osoby i wszyscy dusili się we własnym sosie, tak teraz organizatorów zaskoczyła wysoka frekwencja na spotkaniach. Inna rzecz, że reklama była skuteczna, znalazłam w mieście sklep z gadżetami (pamiątkowe kubki, szklanki), a radio i telewizja towarzyszyły nam całą sobotę. Muszę też napisać kilka ciepłych słów pod adresem Jacka Inglota - czasem ponosiła go belferska maniera (kilkunastominutowe zapowiadanie gości) oraz paskudna megalomania („to ja dałem wam LOF”), jednak okazał się osobą odpowiedzialną. Potrafił okiełznać nawet Konrada Lewandowskiego, co prawda zapowiedział go enigmatycznie jako specjalistę od marchewki i innych warzyw, ale natychmiast dał okazję do sprostowania, przekazując mikrofon. W rewanżu Konradek dał się jak nieznosny dzieciak przez cały wieczór, co nikomu oprócz niego samego nie popsulo humoru.

Bardzo się cieszę, że pojechałam, choć początkowo obawiałam się, że trafię na jeszcze jedną imprezę doprawioną procentami; przepowiadano mi też nieszczęścia, od totalnego ignorowania po rzeczy wręcz „przeciwpolożne”. Tymczasem czekało mnie miłe zaskoczenie, bo nikt nie przeholował - miałam doskonałą zabawę, słuchając dialogów „na żywo”, a mnóstwo ciekawostek usłyszałam na wykładach. Szkoda, że tego typu konwenty nie odbywają się częściej - niemniej Jacek Inglot skapitulował, pisząc, że w chwili obecnej jest to impreza całkowicie otwarta „dla kobiet, mężczyzn, hermafrodytów i kosmitów”.

Czy w przyszłym roku więcej osób odważy się na wyjazd?

Joanna Zielińska (*Johan Zieliński*)

Za „Wirusem” panny szusem

Ten głupkowaty i utrzymany w poetyce bylejakości tytuł ponizszej recenzji najlepiej oddaje intelektualny i estetyczny poziom filmiła Jana Kidawy Błońskiego. Miał to być obraz o infoterroryzmie, o zagrożeniach płynących z podporządkowania przepływu informacji bezdusznej i nieludzkiej sieci, a ostatecznie otrzymaliśmy rzadkiej głupoty humbug. Nie dziwi więc brak „Złoty Lwów” w tegorocznym konkursie PFF. Skoro kręci się w Polsce takie głupawki i na dodatek finansuje je z kieszeni podatnika, to najwyższy czas zastanowić się nad sensownością istnienia instytucji pn. Komitet Kinematografii, czy jakoś tam.

Sam zaś film to zenujący spektakl nieporadności scenariuszowo-reżyserskiej. Wszystko w tym obrazie jest tandetne, ale najgorsze jest to, że ma pretensje do bycia oryginalnym i ważkim. Śmieszą wirusy poupychane na jednej (!) dyskiecie obok hiper-super-rewelacyjnej gierki, które na dodatek w mig rozwalają różne systemy informatyczne w kraju. Do łez doprowadzają prezentacje tzw. „komputerowych animacji”, które robione są chyba na „Paintbrushu”. Zupełnie niezrozumiałe są również „rozbieranki”, których ani rusz nie da się potraktować jako odsłaniania „nagiej duszy”. Pomijam już fakt, że Paulina Młynarska wypada raczej średnio „w tych klockach”.

O czym jest więc ten film tak naprawdę? O wpływie sanek na proces demoralizacji i upadku człowieka. Tę przenikliwą obserwację ubiera Kidawa Błoński w pseudo-informatyczny thriller malowany schematami fabularnymi rodem z kiepskich amerykańskich filmów policyjnych.

Nie to jest jednak najbardziej irytujące w tym pokazie nieudolności polskiej kinematografii. (Zagraniczne dotacje poszły zapewne na komputerowo generowaną czołówkę, ale funduszy zabrakło nawet na to, by napisy wyświetlano dostatecznie długo dla zapamiętania jakiegokolwiek nazwiska. Może i słusznie, biorąc pod uwagę efekt). Chodzi mi jednak o figurę odbiorcy wpisaną w sam film. A jest nim - ordynarnie mówiąc - debil, tak bodajże w starej nomenklaturze nazywało się upośledzenie, polegające na zatrzymaniu rozwoju psychiczno-intelektualnego człowieka na poziomie 5-6-latka (nie będę się jednak przy tym terminie upierał).



Właśnie takiego odbiorcę konstruują: pozakadrowy narrator, „dekoracje komputerowe” rodem z wodewili czy innych fars (chodzi o ich zastawkowy i czysto umowny charakter) i wałęsające się po kadrze „gołe dupy”.

Skoro już jesteście przy Wałęsie, to i jemu się oberwało od politycznie poprawnego reżysera. Ten bowiem nie oszczędził sobie sceny, w której były prezydent w postaci wirusa pojawia się na ekranie kolejowego komputera i z przejęciem oświadcza, wskazując na kłapę z Matką Boską: „Jestem wirusem. Jak mnie skasujesz, wrócą komunisci”.

Dlaczego poświęcam tyle miejsca gniotowi Błońskiego? Bo już dzisiaj się boję o adaptację „Katoryniarza” Ziemiękiewicza, o ile jest to jeszcze projekt aktualny. Jeśli polskie kino stać tylko na tyle, na ile pokazał nam „Wirus”, to trzeba sobie powiedzieć pas i poczekać na duże zagraniczne dotacje i technologie.

I jeszcze jedno. Polskie kino SF doczekało się właściwie jednej dobrej realizacji - „Seksmissji” Machulskiego. Do dziś film ten gości nie tylko na polskich ekranach, ale często puszczany jest w niemieckiej telewizji. Czy doczekamy się, że w Polsce znowu zacznie się kręcić obrazy na estetyczno-intelektualnym poziomie tamtej komedii wszechczasów?

Grzech



Felieton branżowy

czyli:

„I to - nadaje się do prasy!” *

O relacjach między fandomem a mediami, a właściwie ich braku, wiemy dobrze wszyscy. Nie zmieniają ich sporadyczne relacje z imprez, rzadkie rozmowy z pisarzami sf, ani informacje o organizowanych spotkaniach. Zapowiedzi koncertów jazzowych, akcji charytatywnych, spotkań z trzeciorzędnymi lokalnymi poetami - wszystko to można znaleźć na łamach lokalnych „środków masowego rażenia”. Ale informacji o promocji książki poświęconej pisarzowi fantastyki nie, pomimo osobistej wizyty w redakcji i doręczeniu samodzielnie przygotowanego tekstu anonsu.

Nie chcę się jednak tutaj rozwodzić nad odrzuceniem środowiska fanów przez media publiczne czy prywatne. Chodzi mi o

sprawę bardziej bolesną - o pomijanie dokonań fandomu przez pisma branżowe.

Smutnym przykładem jest tu „Fenix”, który od kilkunastu już miesięcy nie informuje o tym, co się w ruchu dzieje. Nie tylko, że nie zamieścił żadnej notki na temat PiNu, ale nawet nie opublikował listy laureatów Nagrody im. Janusza A. Zajdła za rok 1994. Tak jakby nikogo z redakcji na konwencie nie było. Ja rozumiem, że odsetek fanów zrzeszonych, którzy kupują pismo, nie jest godny uwagi, ale bez przesady! To dzięki takim zapaleńcom jak członkowie klubów fantastyki nazwiska i twarze paru z tamtejszych redaktorów są znane większemu gronu niż najbliżsi ich przyjaciele. Tymczasem panowie redaktorowie stroją sobie fochy i obrażają się za

byłe co. Dla mnie osobiście jest to spory zawód, bowiem po upadku „Voyagera” „Fenix” wydawał mi się jeszcze najprzyzwoitszym pismem z branży. No cóż, omyliłem się. Ale skoro nawet RAZ przeszedł do konkurencji, to coś w tym musi być.

Żeby nie było za wesoło, to i konkurencja ma sporo za uszami. Prawda, że przynajmniej publikuje relacje z ważniejszych imprez fandomu (nawet roleplayowego!), ale działalność klubów na tym się nie kończy. Niektóre mają inne jeszcze ambicje, z którymi trudno im się przebić na łamy. Będę samolubnie szczery - chodzi mi tu o „Karzelkę” i „Anatomię Fantastyki”. Jest miejsce w „NF” dla przeglądu zagranicznych pism poświęconych fantastyce. Co kwartał podsumowuje się nowy numer „Sfinks”. Ale nieregularnik z Gdańska pojawia się co najwyżej w notce autorskiej przy nazwisku Ewy Białołęckiej. Jakże układy ma Sedeńko z Parowskim - w to nie wnिकam. „Karzel” ukazuje się zbyt rzadko, aby oceniał pisma branżowe. Istnieje jednak w cywilizowanych redakcjach zwyczaj, że jeżeli otrzymuje się od innej egzemplarz jakiegoś pisma, to przynajmniej na ostatniej stronie wymienia się jego tytuł. Kurtuazyjnie. Nie wiem jak wygląda sprawa z „Karłem”, ale „Anatomia Fantastyki” dociera i do „Fenixa” i do „Nowej Fantastyki” na bieżąco, nie wywołując żadnego odzewu. Czyżby szanowne redakcje bały się konkurencji? Przecież to śmieszne!

Śmieszna jest także wendetta, którą

Ogan

rozpętuje Parowski na łamach 70000 „NF” przeciw Cholewie (który dogryza jemuż 150 egzemplarzowym „Miesięcznikiem”) robiąc tym samym biuletynowi SKF darmową reklamę. A może to jest właśnie sposób, aby wedrzeć się do naszych branżowych pism. Zacząć obrażać ich redaktorów. Wyśmiewać się z ich pomysłów. Itp. Itd.

Nie wystarczy już, że wszyscy wokół (może poza środowiskiem „Magazynu Literackiego”) mają nas - fantastów - za wariatów, to jeszcze na dodatek sami sobie fundujemy prywatne wojenki i uszczypliwości. Bawmy się tak dalej, a rzeczywiście niedługo dojdzie do tego, o czym pisałem w „Marchołtowych dumkach” Ingłot: żeby zaprosić kogoś na konwent, kogoś innego zaprosić nie będzie można. Czy to ma sens? Czy jest to nam potrzebne?

Pomijam tu zupełnie sprawy „wysoków” niektórych pisarzy i ich stosunku do maluczkich z fandomu. Każdy może mieć w końcu słabszy dzień. Ale całokształt przedstawionych powyżej spraw nie nastraja optymistycznie. Skoro już nawet my - fantaści - fiksujemy, to rzeczywiście musi dziać się źle. Zawsze wydawało mi się, że czytelnicy fantastyki potrafią na chłodno oceniać to, co się wokół nich wyrabia. Wygląda jednak na to, że i nas dopadło w końcu zmęczenie, i że trzeba się przestać łudzić - nie jesteśmy żadnymi wybrańcami.

*cytat za serialemTVP „Czterdziestolatek”.

UWAGA

Wśród osób, które przysłały zgłoszenia do nominacji na Nagrodę im. Janusza Zajdła, przeprowadzono losowanie nagród książkowych. Szczęście dopisało następującym osobom:

Tomasz Makowiak, Elbląg

Michał Stachyra, Kraków

Joanna Kulakowska, Warszawa

Katarzyna Lenart, Łódź

Piotr Rodak, Lublin

Nagrody zostaną przesłane pocztą

Sobota z Fantastyką w Niedzielę

(rekonstrukcja z 27.10.96, na podstawie notatek Marka Michowskiego)

- Co to za jadłospis: herbata ciasto, placek z kminkiem, piwo, porter, kawa, maślane bułeczki, czerwone wino, konfitury malinowe, szarlotka, paszteciki z mięsem, ser, gulasz wieprzowy z sałatą, kawa, jajka na twardo, kurczęta pieczone (na zimno), pomidory?

Kiedy wchodziliśmy, kończył się właśnie Konkurs Tolkienowski. Zapytany odpowiedział przytomnie:

- Czy mogę prosić o powtórzenie pytania?

✕

Potem odbyło się spotkanie z wydawnictwem Nowa Fantastyka - Prószyński i S-ka. Prowadził je gospodarz Tomek Kołodziejczak, a za stołem zasiedli: Dorota Malinowska, Arek Nakoniecznik i Piotr Cholewa.

Arek mówił o swojej roli w wydawnictwie i zaprezentował książki Iaina M. Banksa o „Kulturze”, które zobaczymy może już za rok. (O tym autorze pisał „Czerwony Karzeł” ponad półtora roku temu!)

- Żeby ocenić pisarza wystarczy czasem przeczytać dwa zdania i to nawet ze środka książki - powiedział.

Pytano o fantastykę „zza Buga”. Zdaniem Doroty i Piotra Staniewskiego ostatnie Bułyczowy są słabe (ale od jakichś dwóch lat pojawia się wiele nowych nazwisk).

✕

Konkurs redakcji fanzinów wygrał „Miesięcznik” (Czyżby Piotr Cholewa upraszał się o „Srebrnego Śledzia”? - przyp. red.), ale „Czerwony Karzeł”, w osobie Papiera, trzymał się prawie do końca. Wasz ukochany naczelny w tym czasie podawał do chrztu swojego stryjecznego bratanka w podwarszawskiej Zielonce (zona Wołomin) i stąd zabrakło na starcie „Informatora”.

✕

Twórcy zjawili się w komplecie, oprócz Sapkowskiego (uczestniczył dzień później w Konferencji - przyp. nacz.) i Inglota (czyżby śleczął nad „Dumkami” do Informatora? - przyp. nacz.).

✕

Bitwę Klubów wygrał oczywiście Gdański Klub Fantastyki. Al Bert i Wojtek Malak nie dali rywalom żadnych szans.

✕

Krótki stenogram ze spotkania z pisarzami:

Uczestniczyli: Tomasz Bochiński, Marek Huberath, Romuald Pawlak, Jarek Grzędowicz (Jeremiasz wystąpił w płaszczu i z czapką w ręku, ale nie wyszedł aż do końca)

JG - Słyszałem już opinię, że fantastyki nie ma, że tworzą ją tylko takie dyskusje, tylko projekcje umysłów.

MH - To nas łączy. Jeden ma taką projekcję, drugi inną i można sobie pogadać.

JG - Z literatury sprzed 20-30 lat ocalało co nieco i jeszcze się to czyta, ale już bez zaangażowania. Literatura fantastyczna jest tworzona na krótki czas i ciągle się zmienia. Polacy przestali bać się wielu rzeczy. Polski autor może opisywać bohatera Polaka i umieszczać akcję w Polsce. Kiedyś to było niemożliwe.

RP - Mało jest twardej fantastyki, bo to trudne, bo wiedza się zmienia i po np. 5 latach może śmieszyć.

MH - Rozwój nauki poszedł w innym kierunku - na informatykę.

JG - Jeśli na konwentach pojawia się nowe zjawisko, np. wideo, część uczestników natychmiast reaguje.

MH - Rzucanie kostkami to nowe zjawisko. To próba pisania książki samemu.

Z sali - Dobra książka to nie tylko fabuła.

JG - Tak, gracze nie czytają „do poduszki” scenariuszy gier. Nowe zjawisko to Internet, ale tam P. Cholewa i P. Staniewski rozgrzewają druty. Potrafią rozmawiać godzinami o „ogonkach” - czy kodować polskie litery, czy nie.

Z sali - Komputera nie weźmiesz „do poduszki”. Nie ma czytelnictwa bez książek.

Z sali - Są słuchawki.

JG - Książka czytana „na głos” to już nie będzie książka, a nośnik, na którym coś jest wydrukowane zawsze będzie tańszy niż jakieś „hardware”.

MH - Dotychczasowi czytelnicy fantastyki myśleli o innych drogach rozwoju cywilizacji. Czym mamy dziś uwodzić czytelnika?

JG - Polityką!

TB - Jestem księgarzem i widzę, że Ziemkiewicza kupują czytelnicy jego felietonów.

Z sali - Jego książki bardziej przypominają felietony niż cokolwiek innego.

RP - Pisze felietony i ludzie go z tym kojarzą, ale nie widzą różnicy w wypowiedzi.

JG - Żeby literatura fantastyczna była zauważona, musi brać się za bary z czymś wielkim. Z Bogiem, z polityką.

MH - Od dwudziestu lat nikt nie lata w kosmos. Kto by chciał czytać o kosmonaucie?

(Ktoś pyta o cykle)

JG - Nie widziałem jeszcze człowieka, który lubi kupować cykle!

Na tym notatki Marka urywają się...

TYM RAZEM, PO RAZ PIERWSZY OD KILKU LAT, NIE BĘDZIE RELACJI Z FESTIWALU FILMOWEGO W GDYNI, BO PIPIDŹEJ SIĘ NAŃ NIE WYBRAŁ. DOSZUKIWANIE SIĘ ZWIĄZKU MIĘDZY TYM FAKTEM A BRAKIEM „ZŁOTYCH LWÓW” UWAŻAMY ZA PRZESADĘ.

Konferencja super **NOWEJ**

W przepastnej dyskotekowej sali Klubu Studenckiego „PROXIMA” na Mokotowie odbyła się 28 października konferencja prasowa z wydawcą i autorami kolejnej „serii” książek polskiej fantastyki. Za stołem konferencyjnym zasiedli: Gieno Dębski, Mirek Kowalski, Andrzej Sapkowski, Marcin Wolski, Tomek Kołodziejczak i Rafał Ziemkiewicz. Na sali zebrali się przedstawiciele ruchu fanowskiego i profesjonalnego świata polskiej fantastyki. Długo by wymieniać nazwiska choćby tylko najważniejszych, zatem darujemy sobie personalia.

Konferencja rozpoczęła się z godzinnym opóźnieniem! Autorzy udzielali w tym czasie wywiadów telewizji, a słuchacze „rozpijali” bar. Miało to kolosalny wpływ na końcowy efekt całego przedsięwzięcia, gdyż wielu z uczestników do końca bardziej było zajętych przykontuarowymi pogaduchami niż występom Gwiazd Stajni Kowala. Tym co sens konferencji sprowadziło do absurdu, była zaś fatalna akustyka sali, w której pojedynczy głos ginął jak kamień w wodzie, a poza szumem dochodzącym z okolic barku, słyszalni byli jedynie mówiący przez mikrofon autorzy. Żeby było śmieszniej, o treści pytań wnioskowało się z odpowiedzi.

Ziemkiewicz zauważył, że straceni pomysł „Kowala”, aby wydawać polską fantastykę stadnie przynosi nadspodziewanie dobre efekty. Książki nie tylko, że sprzedają się w nakładach zaplanowanych, to miewają na dodatek dodruki. Przykład superNOWEJ pociąga inne wydawnictwa, które także próbują wydawać Polaków. Idzie więc na lepsze.

Główni bohaterowie konferencji docenili też fakt zabiegów promocyjnych wydawnictwa, któremu wyraźnie zależy na sprzedawaniu, a nie tylko drukowaniu książek.

Ciekawa była dyskusja o miejscu fantastyki w mediach. Ziemkiewicz wściekał się na szufladkujący i zamykający w getcie przydomek - fantastyka. Kołodziejczak ripostował, że posiadania wiernego grona kibiców w postaci fandumu nie sposób przecenić, i że ułatwia to start debiutantom. Od talentu zaś twórcy zależy pozycja, jaką sobie wywalczy w literackim świecie. Przykład Sapkowskiego i Wolskiego wskazuje, że można pisać fantastykę osiągnąć wcale niemało.

Papier wywołał temat „prawicowości” fantastyki, który dosyć zelektryzował salę. Pisarze twierdzili, że fakt „prawicowego przechyłu” prozy sf warunkowany jest otaczającą nas rzeczywistością. Literatura, wskazywali, zawsze próbowała odwracać wektory sytuacji, w której powstawała - stąd taki a nie inny jej kształt w Polsce.

I ja tam byłem / piwo piłem / a co dosłyszałem / to Wam opowiedziałem.

G.A.N.



UROCZY BELKOT *

Telewizja Canal+ w ramach tzw. „Nocy złego smaku” pokazała swoiste kinowe kuriozum, jakim jest niewątpliwie film „Plan 9 from outer Space” Edwarda D. Wooda Jr. Uznany przez krytykę za „najgorsze dzieło kina”. Film „Plan 9 z kosmosu” oglądany dzisiaj, z perspektywy ponad trzydziestu lat od dnia powstania, pomimo iż jest ewidentnym knotem, ma w sobie wiele niezaprzecznego uroku.

Ed Wood kręcił filmy byle jak i byle gdzie i za każde pieniądze. Producentami jego filmów byli zarówno szef jednej z hollywoodzkich rzeźni jak i kościół anabaptystów. Za 70 dolarów (tyle wynosił koszt „Planu ...”) potrafił nakręcić ponad siedemdziesiąt minut pełnych drętwych, zupełnie pozbawionych sensu i rażących dydaktyzmem dialogów, akcja filmu kompletnie pozbawiona jest logiki (czy logicznym jest pomysł, iż dlatego, że ludzkość zaprzecza istnieniu obcych cywilizacji, należy ożywić zmarłych, by udowodnić swoje istnienie?), latające spodki to nic innego, jak dekle samochodowe, w dodatku sfotografowane tak, że widać sznurki, na których są zawieszane, a aktorzy kompletnie nie wiedzą, jak się zachować na planie (sławetna scena, w której inspektor policji beztrudno naciskając spust pistoletu drapie się bronią po głowie, czy też podobna scena w samolocie, kiedy pilot samolotu rozmawia z ziemią raz mówiąc do słuchawki, innym razem do mikrofonu). Inną zupełnie sprawą jest, jacy to są aktorzy.

Najsłynniejszym współpracownikiem Wooda był niewątpliwie Bela Lugosi znany z roli w „Drakuli”. W latach pięćdziesiątych był on już „aktorskim trupem”. Zapomniany przez wszystkich, narkoman Lugosi dogorywał gdzieś na przedmieściach Los Angeles. Przypadek sprawił, że spotkał go Wood i z miejsca zaproponował współpracę. Dla Wooda Lugosi był „nazwiskiem”, które mogło otworzyć mu drogę do sławy, a Lugosiemu Wood dawał nadzieję ponownego „zaistnienia” w filmie. Chociaż najbardziej paradoksalne jest to, iż sukces, jakim okazał się w końcu „Plan ...” nie był wynikiem ich współpracy, co raczej „kuracji antynarkotykowej” Lugosiego i w końcu śmierci tegoż. Wood zdążył nakręcić jedynie kilka scen z udziałem sławnego Drakuli. By jednak kontynuować dzieło zatrudnił osobnika o głowę wyższego od Lugosiego i kazał mu chodzić z zasłoniętą twarzą. W ten sposób niejako „zastąpiono” zmarłego, co kompletnie psuje zamierzony efekt.

Innym człowiekiem Wooda był Thor Jonson - z zawodu zapaśnik, grający w „Planie” rolę inspektora Clay’a. Człowiek ów zupełnie nie nadawał się do filmu, jednak imponował Woodowi swą posturą i dlatego ten obsadzał go zwykle jako „groźnego osiłka”. Taką też w końcu rolę pełni i w „Planie ...”. Jako ożywiony trup sprawia upiorne wrażenie.

Ciekawą postacią jest niejaki Criswell - szarlatan i jasnowidz często występujący w owym czasie w telewizji. Wood poznał go podczas jednego z „szól”, w którym występował również i Lugosi. Criswell pełni w tym filmie rolę narratora spinającego w jedną całość historię opowiedzianą przez film. Rola ta - właściwie nie mająca uzasadnienia - ma jedynie wzmocnić atrakcyjność filmu.

Postacią znaną z telewizji jest również Vampira, gospodyni magazynu z opowieściami grozy. Wood bardzo chciał ją zatrudnić w filmie, jednak ta przez długi czas się mu opierała. Jednak, kiedy zlikwidowano jej program, nie miała nic innego do roboty i wyraziła zgodę

Treścią filmu jest, jak już wspomniałem, tajemnicza historia „ożywienia” trupów na jednym z cmentarzy. Ożywienia dokonuje grupa kosmitów. Celem ożywienia jest zmanifestowanie swojej obecności, gdyż oficjalne władze zaprzeczają ich istnieniu. Ożywione trupy mnożą kolejne ofiary zabijając w pierw dwójkę grabarzy, potem zaś dzielnego inspektora Claya. Owa działalność zainteresowuje w końcu Pentagon, który wysłał dzielnego pułkownika Edwardsa, by ten zbadał sprawę na miejscu. Plan owego ożywienia nosi numer 9 (stąd nazwa filmu). Dzięki wysiłkom pułkownika Edwardsa (Tom Keene), porucznika Harpera (Duke More) i pilota Trenta udaje się uratować ziemię od kosmitów i zapewnić ozdrowieńcom wieczny odpoczynek.

Film ma jeszcze dodatkowo przesłanie antywojenne. Kosmici ostrzegają ziemian przed bronią atomową i solarną (której jeszcze nie wynaleziono, ale usłudni kosmici sami wyjaśniają, na czym polega jej siła i jak ją wyprodukować).

Film ten z biegiem czasu stał się w pewnych środowiskach dziełem niemal kultowym. Istnieje internetowa lista miłośników twórczości Wooda. Krążą scenariusze, fotosy, plotki o jego życiu. Z pamięci cytuję się poszczególne dialogi i organizuje specjalne pokazy filmów. „Plan ...” śmieszy, ale i uczy pokory. Uświadamia, iż miłość do kina może być tak wielka, że nie baczy na przeciwności losu i gotowa jest na każdą niedorzeczność, by osiągnąć swój cel.

Bazyl

* tytuł od redakcji

W telewizji pokazali...

(październik-listopad 1996)

#Frona



* Program o pornografii próbował odpowiedzieć na pytanie, czy jest ona szkodliwa i jeśli tak, to dla kogo? Spośród zaproszonych do wzięcia udziału w dyskusji niemal wszyscy uznali dezintegrujący wpływ takich przekazów na psychikę człowieka, zwłaszcza tego, który nie rozpoczął jeszcze życia erotycznego. Różnie natomiast oceniano jej wpływ na dojrzałych seksualnie ludzi. Niemniej, zgodnie twierdzono, że dostępność materiałów pornograficznych powinna zostać ograniczona do sklepów, które specjalizują się w zaspokajaniu erotycznych potrzeb ludności. I to jest chyba najrozsądniejsze rozwiązanie tej całej awantury o „świerszczyki”.

** Niezwykle interesujący był program o świętości na co dzień. Dla chrześcijanina, każdy dzień powinien być powołaniem do świętości i świadczenia o Chrystusie. Jakie są tego konsekwencje - ot, chociażby, uczciwa praca. Bez zrozumienia tego wyzwania trudno w ogóle mówić o oddaniu się Bogu.

*** O tym, jakim problemem jest dla świata Jan Paweł II, niewiele mówi się w jego Ojczyźnie. Ale przecież i do nas docierają echa antypapieskich manifestacji w wyzwolonych i laickich miastach Europy, tudzież Ameryki. Gdzie tkwi przyczyna tej zaciekłości? Dlaczego Kościół Katolicki nie reaguje na jawne akty profanacji nie tylko hierarchii, ale nawet postaci Chrystusa? Czy postawa nadstawiania drugiego policzka jest realizacją nauki Chrystusa, czy już wyparciem się jej? Czy papież jest nieomylny? Oto niektóre z pytań, które zadawano sobie w czasie nocnego programu. Dało się odczuć coraz bardziej zdecydowane nastroje katolickich publicystów, którzy zaczynają mieć powoli dosyć bycia traktowanym jak szmaty. Nadchodzi czas heroicznego katolicyzmu. Nadchodzi czas dawania świadectwa ze swojego życia. Wiek XXI nie będzie raczej wiekiem religijnego spokoju, ale kto przetrwa tę konfrontację, dziś nie sposób przewidzieć.

**** Jaki jest sens śmierci i umierania w świecie zupełnie odwróconym od spraw wiecznych, w świecie opętanym młodością, sprawnością i wolnością? Jakim przeżyciem jest śmierć bliskich? Jak przygotować się do własnego odchodzenia? Na te pytania nie sposób odpowiedzieć w pół godziny, ale też i redaktorzy programu nie mieli takiego zamiaru. Najważniejsze było rozbudzenie tej eschatologicznej świadomości, bez której człowiek nigdy nie osiągnie pełni swego człowieczeństwa, nigdy nie przekroczy granicy między życiem dziecięcym a dojrzałym.

Ogród sztuk



* Mistycyzm Islamu był tematem pierwszego październikowego „Ogrodu Sztuk”. O mahometanizmie nie wiemy prawie niczego. Nie mamy świadomości, że związki wyznawców Allacha z Judaizmem i Chrześcijaństwem są dużo bardziej „zazyle” niż zwykło się powszechnie sądzić. Muzułmanie to nie tylko opętani złe rozumianym i podporządkowanym politycznym interesom „dżihadem”. To również mistycy, zgłębiający tajemnice swojej wiary i szukający Absolutu (nie chodzi bynajmniej o ten przedni szwedzki alkohol).

** , *** Dwóch kolejnych programów z cyklu „Ogród Sztuk” nie mogłem niestety obejrzeć i nie mogę się podzielić z Wami swoimi refleksjami. Obiecuję poprawę.

„Alphaville”



Emitowanie filmów pomiędzy północą a drugą nad ranem to kolejna zwodnicza strategia naszej komunistycznej telewizji, której nikt nie może zarzucić, że nie sięga po ambitny repertuar, a że nikt go nie ogląda, to tym bardziej jej na rękę. Ja się jednak zmusiłem i obejrzałem ten pierwszy chyba w historii kina SF obraz o „informatycznym totalitaryzmie”. Pozbawiony trickowych fajerwerków, wręcz ascetyczny w warstwie przekazu wizualnego, z miotającym się po kadrze bohaterem, próbował przemawiać najprostszymi dostępnymi środkami: dialogiem, narracją pozakadrową. Jak każdy francuski film obarczony jest „Alphaville” swoistym przeintelektualizowaniem, które czyni go tym trudniejszym i jeszcze mniej atrakcyjnym w odbiorze (zwłaszcza o pierwszej nad ranem). Mamy w tym filmie również po raz pierwszy chyba zastosowany do walki z systemem komputerowym - wirus, w postaci wiersza. Prosta, ale jakże oryginalna metafora, musiała bardzo silnie przemawiać w latach sześćdziesiątych do pierwszych jego widzów. A i w Polsce, jeszcze do połowy lat 80-tych, musiała być bardziej niż czytelna. Co z niej zostało dzisiaj? To już temat na zupełnie inną opowieść.

4 x nt. „ID 4”

a Któryś ze znanych krytyków powiedział niedawno, że dobry film to ten, z którego zapamiętamy choć jedną scenę - wizualnie i na zawsze, choćbyśmy z czasem zapomnieli fabułę, aktorów, reżysera. Dziś okazuje się, że ta definicja może odnosić się również do filmów, które od *Gorączki złota* („taniec bułeczek”!) dzielą lata świetlne...

Zimowy wieczór, czekam na coś w telewizyjnym kinie nocnym; oczywiście, mimo bandyckiej pory, opóźnia się - skacze więc z nudów po kanałach satelitarnych. I nagle widzę CIEN. Ogromny cień, powoli kładący się na wieżowcach Manhattanu, na sadzawce przed mauzoleum Lincolna, na napisie „HOLLYWOOD”. I coś w tym Cieniu jest dziwnego; nawet nie to, że pojawił się on w trzech najstynniejszych miastach USA jednocześnie, ale... Tak! Już wiem: on ma **idealnie równą krawędź!**.. Czyżby twór sztuczny!? Ujęcie czwarte: nowojorska ulica, kamera skierowana ku górze. Tworzące kanion ściany drapaczy chmur, nad tym widać niebo - i to, co rzuciło ów cień. Gigantyczny statek kosmiczny, powoli lecz nieubłaganie zakrywający sobą miasto, jakby ktoś kładł pokrywkę na garnku!

Co to za film!?? Dlaczego o nim nic nie słyszałem?..

b Pół roku później, początek jesieni AD 1996. Reklama *Dnia Niepodległości*, w Stanach rozpętana jeszcze przed ukończeniem filmu, już i w Polsce jest wszechobecna. Plakaty praktycznie we wszystkich kinach, pierwsze fotosy... Przed gablotą zatrzymują się dwie panienki. Oglądają. Jedna z nich mówi: „A, to takie nowe *ET*”; myślę sobie: „Oj, pudło! Z tego, co już wiem, na pewno nie jest to *ET* - raczej wręcz odwrotnie...”

Wspomnienie - połowa lat 60., dzieciństwo niżej podpisanego. Telewizyjny cykl „W Starym Kinie” red. Janickiego ma zupełnie inną od dzisiejszej formułę: prezentowane są tylko fragmenty filmów, zebrane pod kątem tematycznym (gatunek, reżyser lub aktor). Pamiętam program o Frankensteinie, o kinie grozy - i o fantastyce naukowej. W tym ostatnim wielkie wrażenie wywarły na mnie fragmenty przedstawiające Inwazję. Ogromne latające spodki, burzone budynki, panika na ulicach, węzowo-ośmiornicze kształty Obcych...

Jednak potem takie inwazyjne widowiska znikły na lata. Pojawił się Spielberg z *Bliskimi spotkaniami III stopnia*, pokochaliśmy UFOków. A jeśli trafiał się wątek inwazji - to albo najeźdźcy byli zakamuflowani (*Goście, Oni istnieją*), albo zagrożeniem był pojedynczy ich reprezentant (*Obcy, Gatunek*). Pomyślałem nawet kiedyś, że interesujący byłby „batalistyczny” film inwazyjny dziś, przy obecnej technice efektów specjalnych (statki kosmiczne w dawnych filmach były po prostu gładkimi stalowymi talerzami, w taranowanych budynkach wybijane były po prostu ogromne dziury - żadnych sypiących się cegieł etc.); pomyślałem też kiedyś o tym, że wielkie bitwy SF toczą się w przestrzeni całkowicie wykreowanej (ciekawie byłoby wziąć za tło powszechnie znane ziemskie zakątki).

Film Rolanda Emmericha wypełnił tę „niszę ekologiczną”.

c Co zaś do filmu... Jest to widowisko rzeczywiście ogromne, zasługujące na to, by być hitem (bilety wyprzedane na kilka godzin przed seansem! jak za dawnych czasów! wideo może się uwalić!) - Empire State Building rozlatujący się na cegielki, ogromna fala uderzeniowo-ogniowa, wspomniany już cień. I - tak rzadkie w nowym kinie SF - ukazanie naszej kruchości w konfrontacji z bezlitosną potęgą z Kosmosu...

Niestety, już kiedyś, omawiając optymistyczną wolę fabularną w *Terminatorze II* zauważyłem, że „najdroższy film w historii kina nie może przecież >dołować< widzów”; nie może tego robić również film najbardziej widowiskowy... Stąd optymistyczne zakończenie [niczego nie zdradzam: gdy te słowa - pisane w pierwszym tygodniu października - trafią do Waszych rąk, nie będzie chyba wśród Was nikogo, kto by *ID 4* nie widział], które zmienia wszystko - nie tylko w rzeczywistości ekranowej.

Przy takiej przewadze technologicznej Obcych - ludzkość podzieliłaby los nawet nie Indian, lecz wręcz Tasmańczyków. Jednak wygrywamy, i to z jaką zawadiacką fantazją! Powoduje to „degradację gatunkową” filmu: zamiast obrazu rządu *Obcego* czy *2001: Odysei Kosmicznej* otrzymujemy czysto rozrywkowe kino, ot znacznie lepszą wersję *Gwiezdnych Wrót* (skojarzenie nasuwa nie tylko osoba reżysera, lecz także ornamentyka obcych statków kosmicznych). Następuje też wewnętrzne „pęknięcie” struktury filmu: zagłada miast (iście Wellsowska) i Jeff Goldblum przesyłający najeźdźcom „Wesołego Rogera” (tylko urok osobisty aktora ratuje tę scenę) - to dwie zupełnie inne bajki! Obcy nie musieli być dalece mądrzejsi od nas (tak, jak ludzie starożytności nie byli od nas głupszy - rozwój cywilizacyjny to po prostu suma wiedzy i pracy pokoleń), ale żeby byli tak głupi jak Niemcy w *Klossie* (którzy chyba przypadkiem chwycili za pysk całą Europę)... Ten film tak naprawdę powinien zakończyć się inaczej: panorama ruin, zgliszcz, lądujące promy Obcych, pierwsze wznoszone przez nich konstrukcje - i napis, który był jednym ze sloganów reklamowych filmu „ODPOWIEDŹ NA PYTANIE, CZY JESTEŚMY SAMI W KOSMOSIE, NADESZŁA”... Ale czegoś takiego amerykański hurraoptymistyczny „sorealizm” by nie zniósł. Czujmy więc Czwarty Lipca! [osobiście wolę zresztą od dwudziestego drugiego...] A ponieważ takie megawidowisko mogło powstać tylko w Hollywood - tak po prostu musi być!..

Co nie znaczy, że się w kinie nudziłem! Zaś moim ulubionym gagiem pozostanie scena, w której „ekologista” Dawid otwiera swego laptopa - i na monitorze ukazuje się zgłoszenie: czerwone okrągłe oko i napis „Witaj, Dave!”. Po nielicznych - choć głośnych - śmiechach zorientowałem się, jak niewielu wielbicieli SF zna arcydzieło Kubricka (podobnego typu „mrugnięciem okiem” była, w futurystycznej łupaninie ze Stallonem pt. *Człowiek-Demolka*, bohaterka nazywająca się Lenina Huxley)... Patrzyłem także przez palce na rozmaite nielogiczności filmu: obiekt o masie 1/4 Księżyca nie zakłócający obrotu ziemskiego satelity i pływów wodnych, naukowiec w supernowoczesnym centrum badawczym pozbawiony możliwości kąpieli, myśliwce manewrujące swobodnie wśród eksplodujących głowic nuklearnych... ale ileż takich nedoręczności spotykamy w SF - powiększone pająki (taki stawonóg nie mógłby się poruszać), pomniejszeni ludzie (taki ssak by zamarzł) etc... Z dwojga złego wolę już

podobny kawał tzw. Nowej Przygody, niż np. pretensjonalną adaptację *Wojny światów* (notabene Wells nie miał szczęścia do filmowców: nawet nie oddawali oni precyzji jego fabuły, że o przesłaniu treściowym nie wspomnę!).

W którymś z satelitarnych programów filmowych widziałem migawkę zniszczoną przez kosmitów katedrą w Kolonii, nie znalazło się to jednak ostatecznie w filmie (podobnie jak sztuczne fale tsunami w *Otchłani* czy pełna życia kolonia w *Obcych*) - znowu wyszedł tu jankeski amerykocentryzm! A miło by się patrzyło na rozlatujący się Kreml... [amerykańscy kinomani mają swoją chwilę radości: ponoć scenie zniszczenia Białego Domu towarzyszą owacje sali]

Dzień Niepodległości zapoczątkował podobno kolejną falę zainteresowania SF: ma powstać amerykańska wersja *Godzilli* [!], remake *Niezwykłej podróży*, czwarty *Obcy* [?], inwazyjny film Verhoevena oraz [wreszcie!] pierwsza trylogia *Gwiezdnych wojen* (i podrasowana wersja już istniejących części sagi - czego osobiście się boję, bo „poprawianie” czegoś, co już jest doskonale i uznane, może przynieść skutek podobny do osławionego polskiego tłumaczenia wideo, słusznie uwieńczonego „Złotym Meteorem”...).

d Na koniec cytaty z „Tołstoja science fiction” - rzecz napisana dokładnie 100 lat temu...

W owej chwili uczucia me przekraczały zwykłe granice odczuwań ludzkich. Sięgały one niechybnie w dzie-dzinę dobrze znaną nieszczęsnym, podległym naszej władzy stworzeniom. Czulem to samo, co odczuwałby królik, kiedy wracając do swej norki zastanie niespodziewanie tuzin kopaczy zajętych wykopem pod fundamenty domu w tym właśnie miejscu, gdzie do niedawna była jeszcze norka. W świadomości mej pojawił się pierwszy przebłysk myśli, coraz ostrzej rysującej się i prześladowującej mnie przez wiele następnych dni, myśli o detronizacji człowieka; przeświadczenia, że nie jesteśmy już dłużej panami stworzenia, lecz zwierzętami jak inne, podległymi władzy Marsjan.

[Herbert George Wells, WOJNA ŚWIATÓW, tłum. H. Józefowicz] 1-1



Jan Plata-Przechlewski

Marchotkowe dumki Jacka Inglota



Tak zwany fandom roi się od osobników dziwnych, niekiedy dziwacznych, zwłaszcza pośród nas, żeglarzy wyobraźni wiosłujących piórem. Są wśród nas wariaci-alkoholicy w rodzaju Tadeusza R. L. Dudy, ewidentni grafomani (Lech czy Wadwik), są też ludzie opętani obsesją Wielkiej Sztuki, jak na przykład Jacek S., znany mi od paru lat olsztynianin, autor młody i ambitny. Może zbyt ambitny? Napisał kilka niezłych opowiadań, z których żadne bodaj nie poruszyło głębiej tzw. szerokiej publiczności. Z pisarskich dramatów to dramat największy - być dobrym i przemilczanym.

A może przyczyną jest to, że Jacek S. wkroczył na zgubną ścieżkę PERFEKCJI? - też kiedyś na niej byłem, krótko, bom się szybko przekonał, że doskonałość rodzi się z niedoskonałości - dlatego nigdy nie będzie całkowita. Tak jak nie można zamknąć w dłoni cienia, tak nie można osiągnąć PERFEKCJI... Tej prawdziwej, powalającej z nóg tak profanów, jak profesjonalistów. Z nas wszystkich najbliższym jej może jest Sapkowski... Cała reszta żeglarzy z góry jest skazana na niepowodzenie, na błądzenie po mrocznych otchłaniach Wielkiej Sztuki. Gna ich naprzód wiara w to, że kiedyś natrafią na Wielką Złotą Rybę Sukcesu.

W gruncie rzeczy trochę mi Jacka S. szkoda... i jednocześnie zazdroszczę mu wiary w to, że zdoła tego dokonać. Jestem bowiem tylko szeregowym galernikiem pióra - kudy mi do takich samotnych wilków morskich, Latających Holendrów trzymających swój obłąkany kurs na oceanie wyobraźni.

INFORMATOR GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI #90

ADRES GKF : Gdańsk Przymorze, ul. Opolska 2
 ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37
 KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 19611-237451-132
 Redakcja : Grzegorz Szczepaniak (red. nacz.), Krzysztof Ciszewski (red.tech.)
 Współpraca: Krzysztof Papierkowski

Nakład 250

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji